Rok V. Kraków, luty 1931. Nr. 6.

BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L.
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

Matka Boska Gromniczna.

Cicho, posępnie na świecie... Ziemia, skuta żelaznym uściskiem zimy, zdaje się być tak obumarłą, jakby jej żadne podmuchy wiosny ani słońca pieszczoty do życia zbudzić już nie zdołały... Rozbrzmiewające w lecie muzyką wód i trzcin nadbrzeżnych strumyki ścichły, skamieniały stawy, jak gdyby w przerażeniu ogromnem... Zioła i kwiaty, zmiecione jesiennym wichrem, szeleszczą teraz jako zeschłe, brzydkie badyle, szumiąc smutną melodję o minionem szczęśliwem życiu..... Lasy i bory stoją ciche i zadumane pod białym kożuchem śniegu.. A po świecie całym chodzi ojciec zimy — siwy mróz, groźny i nieubłagany i szuka, kogoby jeszcze zabić, zniszczyć, zakuć w białe kajdany lodu. Wszelkie życie zamarło — pustka dokoła...



J. Świtlakówna V. kurs.

Aż oto wszystko odżywa, zdaje się spoglądać ku błękitnym wyżynom, skąd spieszy na ziemię Nieba Pani... Matka Gromniczna!..

Srebrny księżyc wiedzie Ją wśród śnieżnych bezdroży... Niby lilja biała wykwita na spowity szronem ziemi... Spieszy ku nam Matką nasza, aby w smutnem tułactwie być nam serdeczną pociechą, drogowskazem nieomylnym i najdzielniejszą obroną... Niesie w ręce świecę płonącą na znak, że co obumarło, zbudzi się do życia, — co zgasło, zaświeci znowu, — co w zimnie skostniało, rozpali się ogniem gorącym na nowe życie... Staje wśród nas, aby dziś, kiedy świat ginie przez pychę, ducha buntu i samolubstwo, dać nam przykład najgłębszej pokory, posłuszeństwa bezgranicznego i najwznioślejszej miłości. Zwróćmy się do tej najlepszej Matki i prośmy, aby umysły nasze oświeciła a w sercach rozpaliła miłość ofiarną dla Boga i bliźnich — oddajmy się ufnie pod Jej opiekę, a nie zginiemy!

Tarczałowiczówna IV. kurs.

Zima.

Nadeszła Zima posępna, blada.
Wicher ostatkiem liści łomoce,
Na pustych polach śnieg cicho siada,
Nastają smutne i długie noce.

Pędzi ze wschodu oddział zamieci,
Z północy ciągną Zimy żołnierze,
W białym rydwanie srogi Mróz leci
I ziemię całą w niewolę bierze.

Mróz swym oddechem życie zabija;
Wicher z wściekłością dmie w srebrne rogi;
Zamieć z wichurą prędko się zwija,
By Ziemię rzucić pod Zimy nogi.

Już pola czernią się tylko zrzadka
Śnieg ponad niemi tumanem się wije:
To dobra Zima — troskliwa matka
Ziemię śnieżystym kobiercem kryje.

Szczepańska II. kurs.

Moje wspomnienia świąteczne.

Zaczynają się one od chwili, w której weszłam do wagonu i z biedą znalazłam stojące miejsce: wszędzie było pełno roześmianych, nieznanych mi koleżanek i kolegów, jadących na kilkanaście dni do domu.

Wspomnienia płyną... Wilja, opłatek, gwiazdka z przemiłą choinką i... cudne samotne spacery w pola — nad Poprad...

Pogoda, iskrząca się śniegiem, jakby chcąc ucieszyć małe Dzieciątko, dopisała świetnie. Korzystając z tego, przepadałam na całe godziny z domu.

Błądziłam po polach i okolicznych wzgórzach. Pozostawałam sama wśród cudów przyrody. Nie musiałam mówić!

Raz wyszłam przed zachodem słońca drogą nad Poprad, który płynie wzdłuż jednej z najpiękniejszych dolin w Polsce.

Ostatnie promienie zapadającego za pagórek słońca rzucały złotawe refleksy na śnieg, pokrywający przeciwległe wzgórza; w głębokich dzielących je jarach już się pokładły fioletowo-niebieskie cienie.

Czarne lasy odcinały się pasmami od bieli śniegu. Lekka mgiełka, zwiastująca silny mróz na noc, zacierała kontury ośnieżonych gór, ledwie zarysowujących się na bladem niebie.

Stanęłam na moście popradzkim zapatrzona w ten przepiękny obraz.

Jak potężnym artystę jest Bóg! Co za cudowna harmonja barw i światła!

Stałam długo, długo...

I tak mi jakoś było dobrze i ogromnie spokojnie w duszy. Może to sam Bóg, objawiający się w tej wspaniałej przyrodzie, był we mnie?...

Wolnym krokiem zawróciłam ku domowi czując, że taka chwila już mnie nieprędko, a może i nigdy nie spotka...

Z żalem myślałam o tem że znów będę musiała wrócić na kilka miesięcy w te nieznośne mury miejskie!

Chlebusówna kurs IV.

Urok zimy.

Piękno natury najpotężniej działa na dusze nasze, a nieodparty urok swój zawdzięcza nieustannej zmienności, obdarzając nas coraz nowemi wrażeniami. Człowiek zachwyca się każdą porą roku, bo każda ma swoiste piękno, tem silniej odczuwane, że krótkotrwałe. Oko nasze, ledwie nawykłe do różnobarwnego krajobrazu jesiennego, z rozkoszą spoczywa na polach i lasach, okrytych puchem śnieżnym

Bezlistne drzewa, które w słotne dni późnej jesieni stoją smutne i ponure, teraz pokryły się szronem i grubą okiścią. Nadaje im to wyraz wiekowej sędziwości. Suche gałęzie, ubrane przepysznie gwiazdeczkami śniegu, błyskają tysiącami iskier w promieniach słońca. Coraz, strącane wiatrem, spływają śnieżne „czapy" z wierzchołków drzew i ciężko spadają na pokrytą białym puchem ziemię. Sypki śnieg iskrzy się i skrzypi pod nogami. Dachy domostw, szronem pokryte, wyglądają, jak ze srebra. Świat bajką się zdaje!

A jak przepiękną jest noc zimowa, kiedy na granatowem niebie drżą i mrugają gwiazdy, a księżyc poważnie płynie nad rozległemi polami. Wszędzie biało i pusto. Tylko jakieś drzewo samotne, z liści odarte rzuca po za siebie cień błękitnawy.

W taki wieczór zimowy, kiedy od siarczystego mrozu gonty strzelają, co za przyjemność przejechać się sankami wśród lasie! Wygląda jak zaczarowany w swej bogatej szacie śnieżnej, świecącej soplami lodu. Śpi i wypoczywa w niezmąconej ciszy, którą nagle wypełnia brzęk dzwonów przy sankach dzeń—dzeń—dzeń!

Ludzie z radością witają zimę—zimno ich nie przeraża. Jeszcze w jesieni miłośnicy sportów zimowych przygotowują łyżwy, sanki lub narty—aby przy nadejściu większego mrozu i śniegu, użyć zdrowych rozrywek na świeżem powietrzu. Pokryte lodem stawy gromadzą rozbawione tłumy dzieci i młodzieży oddające się ślizgawce a każda góra, każde wzniesienie terenu wykorzystane jest przez saneczkowców i narciarzy.

Rolnikówna I. kurs.

Ślizgawka.

I

Chociaż pociągał mnie oddawna sport łyżwiarski, nie mogłam się zdecydować na próbę mych sił na lodzie; dopiero w tym roku w towarzystwie kilku koleżanek znalazłam się na ślizgawce poraz pierwszy w życiu.

—„Janka! Ty na łyżwy?? No! wreszcie zmądrzałaś!" — słyszę głos Ceśki.

Z łyżwami w ręce przemaszerowałyśmy przez środek toru do ławki i wkońcu przymocowano mi je do bucików.

— „ Teraz wstań!„ —mówi Bola —Marylko, weź ją za rękę! „—

Usiłuję wstać—daremnie! Nogi jadą naprzód albo wtył lub zgoła się rozchodzą.

— „Bola! absolutnie nie pojadę. Będę siedzieć na ławce“. —

— „No! także pomysł“ mówi Marylka, ciągnie mnie i znajduję się na środku ślizgawki.

— „Teraz Cię puszczamy. Masz dojechać do mnie, a jak będziesz lecieć, chwycę Ciebie. Próbuj! inaczej się nie nauczysz“! —

Byłam oburzona. Nie mogłam utrzymać się na lodzie i bojąc się upadku i potłuczenia, w okropny sposób powykrzywiałam nogi i wreszcie stanąwszy pewnie na brzegach bucików, zaczęłam błagania.

— „Bola! słuchaj, dojedźmy do tej ławki, a za chwilę znowu ruszymy.“ —

Po długich targach uległa wreszcie i zawiozła mnie do ławki, a sama pobiegła z Marylą na lód. Zamierzałam czemprędzej zdjąć łyżwy, ale nie zdążyłam. Już obie koleżanki były przy mnie i wziąwszy mnie pod ręce, pociągnęły za sobą.

— „prawa!“ —ja lewą stawiam.— „ Lewa!“—sunę obie nogi naprzód. Jak długo mnie mordowano, nie wiem Wkońcu dobiłam znów do ławki.

Tu znalazłam partnerkę—gimnazjalistkę, podobnie jak ja, uczącą się „dzióbać lód.“

Z nią poczęłam trenować w kąciku, a w drodze moja Lili upadła cztery razy! Wreszcie stanęłam sama na lodzie i rozpoczęłam mój pierwszy występ.

Dokoła nas zgromadzało się coraz więcej młodzieży.

—„Świetnie! Wyśmienicie!“— Zachęcona pochwałą, ćwiczę dalej i dumnie odrzucam propozycję wspólnej jazdy z koleżankami. Bola oddala się, świetnie holendrując z Jurkiem, Marylka ciągnie za nią zdala, jak księżyc za ziemią, a ja zostaję i morduję się dalej w pocie czoła

—„Swietnie, proszę Pani!“—Oglądam się, stoi przedemną wysmukły młodzian (nawiasem mówiąc, wcale do rzeczy) i zaprasza do jazdy.

— „Stanąć na obu nogach, —teraz odbić się lewą, potem prawą!„—

Idę za życzliwemi wskazówkami: lewą odbijam się dobrze, chcę to samo zrobić prawą nogą, nagle potykam w okropny sposób—i leżałabym, jak długa, gdyby nie pomoc mego „opiekuna.“

Ambicja kazała mi dowieść „publiczności“‘ że nie jestem ostatnią niedołęgą! Zebrałam się na odwagę i przez całe boisko przejechałam, od jednej ławki do drugiej!!.

Odchodząc ze ślizgawki, miałam tyleż miłych wrażeń, ile bólu

we wszystkich mięśniach! Byłam zupełnie zdrętwiała! Dopiero sen dobroczynny mnie uleczył i znów gotowa jestem do „walki“ z lodem!

Janka F. kurs IV.

II.

Był słoneczny lekko mroźny dzień. Moja ulubiona rozrywka zimowa zapowiadała się doskonale. Ucieszona, ubrałam się szybko i—dalejże na lód!

Minęłam kilka ulic i znalazłam się u celu. Jednak nie przypięłam łyżew odrazu—zajął mnie ładny i ciekawy widok. Cały tor ślizgawkowy wypełniony był po brzegi; wśród ciemnych ubrań sportowych roiły się różnobarwne a przeważnie białe sweterki, które robiły wrażenie miotanych przez lekkie podmuchy wiatru płatków śnieżnych. Jedne zataczały kręgi dookoła toru, inne półkolami wykonywały „holendry“ lub „aniołki“, inne wreszcie próbowały trudniejszych ewolucyj, jak „trójki“, „amerykanki“ i całe „figury“. Przez tę wirującą mase od czasu do czasu przemykał „wąż“, przypominający żywo ciągnący sznur... dzikich gęsi! Ale oto po chwili tworzy się z niego „gwiazda“ lub „kolejka“. Gdy wśród zabawy ktoś upadnie, współczucia nie wzbudza, raczej uciechę, to też zbiera się co prędzej i dalej jedzie.—Znalazłam się wkrótce i ja wśród tego tłumu, wrącego życiem i weselem, rozbawionego i gwarnego. Spotkałam kilka koleżanek i bawiłyśmy się doskonale aż do zmroku.

Kiedy z poza chmurek wysunął się księżyc i srebrzystem światłem oblał rozbawioną i zda się zupełnie niezmęczoną młodzież — ja, czując już znużenie, pożegnałam szalejący tłum i wesoło wracałam do domu, gdzie mamusia czekała.—Z ciepłą kolacją!

Ira Niklówna, I. kurs.

Sanki.

Nadeszła wreszcie upragniona chwila. Tatuś właśnie kończył pracę około sanek, przybijał ostatnią deskę. W domu panował ruch i gwar niewypowiedziany. Radość dzieci nie miała granic. Biegały naokoło sanek „przymierzały“ jak się będzie siedzieć, a świergotały przytem jak szczygiełki.

Wieczór był przepiękny. Księżyc wzbił się wysoko na niebo w blaskach śnieg grał tysiącem kolorów, a drzewa rzucały dziwne, podobne jakimś widziadłom—cienie. Mróz brał silny, aż skrzypiało pod stopami. Wspaniała pora do jazdy!



Ł. Bahrówna V kurs.

Gdy sanki były gotowe z hałasem wypadliśmy z domu i wśród śmiechu i pokrzykiwań pobiegliśmy na ulubioną górkę, z której doskonale zjeżdżać, (ale równie dobrze można kark skręcić).

Zjeżdżaliśmy po kolei co chwilę rozlegały się zwiastujące przewracanie się sanek piski przerażonych dzieci i uspakajający, mężny głos starszego braciszka: „Nie bać się! Wio-oo! Maryna trzymaj się mocno!—No! dobrze! i sanki ze skrzypem stawały na dole.

Ach! co to za przyjemność kiedy wśród jazdy ze świstem, z szaloną szybkością nagle—sanki się wywracają i każde leżąc, gdzieindziej w niebogłosy krzyczy: ratunku! Niestety nie mogliśmy bawić się długo. Pomimo nalegań i prośb gorących, Mamusia kazała nam wracać do domu i kłaść się spać.

Nazajutrz—członków nie czułam.

A. Tatarczuchówna III kurs.

Kulig

czwartego kursu.

—„No! co? będzie kulig?"—Z tem pytaniem wpada każda do klasy w jasny, zimowy ranek. Chociaż niebo nie jest czyste, ale z poza chmurek gwałtem przeciska się jasne, promieniste słońce, a śnieg błyszczy miljonem iskier—aż oczy bolą!

—„Będzie, będzie! Naturalnie!—krzyczy Janka, wymachując rękami z wielkiej radości. Kilka tylko skrzywionych twarzy wyraża powątpiewanie i niewielką ochotę. No tak—były już pytane ze śpiewu! Ku naszej bezgranicznej rozpaczy „nasza" Pani też waha się, wysyła do telefonu z zapytaniem o konie—nic pewnego.. Mija kilka godzin.

Siedzimy w klasie, jak na szpilkach, w przygniatającej ciszy i trwodze: kto wejdzie?... Wreszcie drzwi się otwierają i wchodzi „nasza" Pani. Oznajmia uroczyście (Boże! daj Jej sto lat zdrowia!), że Ela wystara się o konie! Z naszych silnych, młodzieńczych piersi wyrywa się, jak grom: „Jedziemy!!" Pani mówi, a głos Jej, jak miód płynie na nasze rozkołysane serca: „O drugiej pod Sokołem zbiórka!" Krzyk! Pisk! Gwar!...

Co za widok! Czarny, ognisty rumak grzebie kopytem o ziemię i ze zdziwieniem ogląda się na swój—nie swój? długi, niesamowicie długi ogon. To nasze sanki. Hasło: „Siadać!" i 26 Teeselek wśród ucieszonych min, pląsań i podskoków pakuje się na sanki.

Chodzę i z niepokojem spoglądam na Olę. Obie nie mamy sa-

nek, a miejsca, widzę, też niema. Co będzie? Patrzymy — a tu na jednych sankach jakieś bagaże! Skoczyłam co żywo, porwałam drogocenne pakunki, umieściłam je na kolanach sąsiadek i zdobyłam wolne sanki. Ruszamy! Co za boski galop!!

Dumne, roześmiane patrzymy na przechodniów, którym aż oczy na wierzch wyłażą (z zazdrości!). Hej!! Pyszna jazda. W lewo, w prawo, śmiechy, śpiewy .. Oglądam się—Bogna na swoich mikroskopijnych saneczkach, uwiązanych na samym końcu, wyczynia takie łamańce, taaie podrygi i szalone skoki,—że już, już ma leżeć na śniegu. Trzęsłam się w napadzie wesołości! Ale jakiś romantyczny narciarz, przyczepiwszy się do sanek nieszczęsnej, trochę powstrzymał jej konwulsje.

W takim to miłym nastroju, z kilkoma przygodami (Bogna, mimo wszystko dwa razy zleciała, urwała się nam linka i „koniec“ wpadł do rowu) dojeżdżamy do lasu Wolskiego. Śnieżek sypie, skrzypiąc pod nogami, a my biegniemy z sankami na górę, aby w szalonym pędzie zjechać „na złamanie karku w dół!

Maryśka wozi Panią i nie zważa na żadne niebezpieczeństwa ani na nasze troskliwe ostrzeżenia „Maryśka! tylko nie wysyp Pani!“ Dalej pędzi Marylka z Wandą, która wrzeszczy już z wierzchołka góry: „proszę! Kto jedzie? Drozdowska!!“

Upajam się szaloną jazdą, smaganiem wiatru, i strachem o całość własnych kości w kurczowym uścisku Oli. Ta, skulona, siedzi za mną i tylko się przechyla w prawo i w lewo na zakrętach...

„Patrz, jak moja osoba się wozi!“ rzecze Halszka. Patrzę. — zjeżdża z pędem, skręca do rowu, i wysypuje się do śniegu. Salwa śmiechu!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Idę z Olą aleją parku Wolskiego i podziwiam wspaniałość i potęgę przyrody. Cisza—spokój—sen... lekkie swe skrzydła tutaj rozpięły śnieg bezszelestnie prószy na stężałe, nagie drzewa, kładzie cicho swój biały lśniący całun na martwą ziemię. Pusto.. Nie śmiemy ust otworzyć, aby nie przerwać tej ciszy.. Wtem — dolatuje nas pisk, głośne opowiadanie. Brutalnie wyrwana z zachwytu mruczę: „Gdzieżby! Baba się drze!“ — Powoli wracamy na nasz tor. Tu wraz z Panią patrzymy z zachwytem na lśniący w morzu świateł Kraków. Mrok zapada

Wstępujemy do restauracji. Z bagaży wydobywamy ofiarowane troskliwą ręką „naszej“ Pani kiełbaski i pierniczki, zajadamy je ze smakiem i popijamy herbatę. Prawdziwie „wielkopański“ wypoczynek! Doprowadzamy toalety do porządku i znów dzwoneczki dźwięczą... pędzimy z powrotem, śpiewając,—takie szczęśliwe!.,

Bogna rozpoczyna na nowo swoje łamańce w wyścigu za mknącym kuligiem.

Błyskawicznie mijamy Wolę, Deptak, Sokół i trjumfalnie wjeż-

dżamy do miasta—dumne, roześmiane patrzymy na przechodniów, którym z zazdrości oczy na wierzch wyłażą.

Celina.

Ze złotych myśli.

Niema nic równie słodkiego i rozkosznego jak świeże powietrze.

Bacon.

Nic tak nie boli, jak o dniach szczęścia wspominać w niedoli.

Dante.

W zimowy ranek.

Wstał dzień blady. Na wschodzie czerwieniło się wschodzące słońce, powoli wyłaniało się-smutne-z nad horyzontem. Cały świat otuliła biała sukmana śniegu, a drzewa, osypane srebrzystą sadzią szronu, wyglądały, jak baśnie. Miasto budziło sennie, leniwie. Cisza leżała w powietrzu i koiła smutki marzeniami tęsknemi napełniała serce. Po przez ciche zaśnieżone ulice szłam zadumana. Biel śniegu srebrzyste baśnie—drzewa budziły we mnie pragnienia ogromu przestrzeni szerokich. Ot ptakiem być, lotne skrzydła mieć lecieć w śnieżną zimową dal! Gdzieś daleko, daleko od miast gwarnych i od cichych wsi, od łez i krzywd ludzkich, lecieć w pustkę i ciszę... Przedumać przetęsknić wszystkie żale i bóle—i wrócić z pełnią sił z zapałem do czynu. Cisza... I ozwał się w duszy głos, że daremnie się rwą w nieznane tajemnicze dale—nie ukoję wiecznej tęsknoty ludzkiego serca. Cicha praca i rezygnacja—to wszystko! I mówił głos, że nie ucieknę od łez i trosk ludzkich, one będą mnie goniły, niby upiory i będą wołały, żem stchórzyła. I mówił że z cichej bieli zimowej mam brać przykład.. że po walkach przyjdzie szczęście.. Łkało coś jeszcze w sercu mojem, ale to była ostatnia skarga. Od zaśnieżonych przestrzeni od drzew strojnych leciuchną koronką szronu wiała rezygnacja i spokój... Ucichłam i zachwyconemi oczami patrzyłam na świat Boży... Uczułam że nie potrafiłabym uciekać od bólów i smutków, że nawet te wszystkie moje porywy, rozpacze szalone są mi drogie.. Ucichłam i rzekłam sobie „tak musi widocznie być"..

L. Lachowska II. kurs.

Wieczorem

Gdy wieczór cichy ogarnie ziemię,
mgłami zasnuje świat,
wszystko okryje w tajemne cienie
i dzień znów jeden rad
ucieka kędyś spocząć, znużony,
z nim milknie wszelki gwar
i wszelki dzienny trud już skończony
na dusze pada czar...

Wtedy się cała zatapiam w ciszę:
serce przestaje bić,
i nic nie widzę i nic nie szłyszę,
chcę tylko szczęściem żyć.
Więc myślom moim rozpuszczam wodze,
by w marzeń tonąć śnie:
zwracam je kędyś ku mlecznej drodze,
co zdala srebrzy się.

Rzucają myśli ziemskie niziny,
jaskółczy biorąc lot,
pędzą w ułudne marzeń krainy.
by tęsknot chwycić splot
i na złocistem pragnień wrzecionie
radości wysnuć nić.
Hej! Biegną myśli po niebios skłonie
z gwiazd pasmo szczęścia wić...

Mijają chwile i myśli wreszcie
wracają smutne znów...
O dusze ludzkie! W szczęście nie wierzcie
daremnych szkoda snów!
Ani go lotna myśl nie dogoni
to nieuchwytna skra
Zdaje się człeku, że ma je w dłoni,
a to jest tylko—łza....

Stanisław W. (Glewiec).

Z opieki pozaszkolnej.

Kilka miesięcy minęło od chwili gdy zdałam maturę i musiałam się pożegnać z moją kochaną szkołą. Odtąd bezustannie marzy-

łam, by zostać jak najprędzej nauczycielką, iść w lud i „nieść mu kaganiec oświaty. Wprawdzie marzenia moje nie zostały całkowicie urzeczywistnione, ale mimo tego jestem zajęta w szkole powszechnej popołudniu.—Chcę właśnie opisać Wam, drogie koleżanki, co to za zajęcie, bo może i Wy kiedy się z niem spotkacie. Liga Opieki pozaszkolnej zawiązała dla najuboższych dzieci pomoc w nauce, która odbywa się popołudniu, a dzieci nazywają to „szkółką". Do mojej „szkółki" chodzi około 25 dzieci,—tak chłopcy jak i dziewczęta, od drugiej do czwartej klasy włącznie. Jak już wspomniałam, do „szkółki" chodzą dzieci z warstwy najbiedniejszej przeważnie robotniczej, które, nie mając odpowiednich warunków w domu do nauki, przychodzą do „szkółki" i tu piszą zadania i uczą się lekcji na dzień następny. „Szkółka" trwa od 3-ciej do 5-tej popołudniu. Dzieci jednakże prawie nigdy nie uczą się przez dwie godziny, tylko od trzeciej do czwartej, potem jedzą podwieczorek (kakao i chleb) i bawią się do 5-tej w rozmaite gry i zabawy. Mojem zadaniem jest wytłómaczenie zadań ewentualna pomoc w nauce, o ile dzieci nie mogą same sobie poradzić—Gdy wchodzę do klasy, dzieci witają mnie pochwaleniem Pana Boga. Po dzwonku mówimy krótką modlitwę i dzieciaki siadają do nauki. Na „lekcji" takiej z początku napotykałam trudność w utrzymaniu karności. Przekonałam się, że aby móc utrzymać wśród nich karność i porządek, trzeba sobie było zaskarbić te małe serduszka łagodnością i dobrocią i teraz maleństwa są dość grzeczne i spokojne. Na drugiej godzinie, o ile która z klas jeszcze nie ukończyła się uczyć, rozdaję pozostałym dzieciom różne pisemka odpowiednie dla ich wieku, jak „Płomyk" „Płomyczek" „Nasza Przyszłość" „Dzwoneczek" i t. p. których dostarcza Główny Zarząd Opieki pozaszkolnej. Czytają z nich powiastki, rozwiązują rozmaite łatwe łamigłówki i zagadki i strasznie są zadowolone, gdy potrafią coś dobrze rozwiązać. Przychodzą wtedy do mnie z roześmianemi i rozradowanemi buziami i mówią „ja już wiem, co to znaczy, a mnie się ta bajka bardzo podobała, a ja, proszę pani, sama to rozwiązałam, a ja już to przeczytałam" i t. d. Potem się bawimy, śpiewamy, gimnastykujemy, a moje dzieciaki są tak zadowolone, że gdy usłyszą dzwonek oznajmiający ukończenie „szkółki", smutnieją im twarzyczki i proszą „swej pani", by były „dzisiaj" do szóstej. Ale i mnie czasem smutno się rozstać z niemi, gdyż wśród nich czuje się dobrze—bo odczuwam, że dzieci lubią „swoją panią" i chętnie z nią przebywają.

J. Z. Kraków.

Bajeczka.

(Dla szkółki ćwiczeń)

Królestwo elfów ciągnęło się od krańca do krańca ogromnego sadu. A był on przecudny, pachnący słodkim migdałowym zapachem, rozkwieciony białoróżowemi jabłonkami, które stały jak damy w polonezie w swych jasnych krynolinach. Nad sadem unosiły się roje pszczół i brzęczały dziwną, kołyszącą do snu melodję. A jeszcze wyżej po szafirze nieba przepływały lekkie białe chmurki.

Elfy królowały w całym sadzie niepodzielnie. W każdym kwiecie jabłoni zasypiało jak w kolebeczce malusieńkie elfów dzieciątko o buzi różowej i złotych włoskach. Takie maleńkie Radoski zamieszkują czasem i serduszka dziecięce, ale muszą to być serduszka czyste i gorące, aby mogły być odpowiedniem mieszkaniem dla takiego promiennego Radoska.

W królestwie elfów jest wesoło. Ze stokrótek wyskakują Białoszki elfy dziewczynki i ująwszy się za ręce z elfami — Błękitkami, chłopczykami, mieszkającymi w niezabudkach — tańczą wesoło, nie zważając na pomruki starych Babinek — Krzywulinek, które wyzierają ze swojej siedziby w pokrzywach.

Ale oto w tem wesołem życiu coś się psuć zaczęło. Wkręciły się do sadu dziwne jakieś postacie: czarne, pękate,—podobne do wielkich żuków. Wszędzie łaziły — niby nic ich nie zajmowało — a wszystko widziały. — W sadzie robiło się coraz ciszej. Radoski płakały przez sen, stawały sie rozkapryszone i grymaśne, jak czasem dzieci bywają. Ustały śpiewy i tańce i nawet słoneczko nie tak jasno, jak przedtem świeciło.

Aż wreszcie jeden maleńki Błękitek osiodławszy złotą muszkę, pojechał daleko, daleko do wróżki Dobrochny po radę. Była to wróżka sławna ze swej dobroci, jak widać z jej imienia i opiekowała się wszystkimi, którym źle było na świecie.

Stanąwszy przed mieszkaniem wróżki, przed piękną białą różą— Błękitek odważnie zapukał do drzwi, a dopuszczony przed oblicze Dobrochny, pięknie się ukłonił i przyklęknąwszy na kolano błagał o radę i ratunek. Wróżka pomyślała chwilę i rzekła: Wiem już, czyja to sprawka! Czarodziej Mściwój rzucił czar na wasze królestwo, chcąc zgubić radość i dobro na świecie. Ale nie martw się, Błękitku! Nie-

bezpieczeństwo wprawdzie grozi Wam duże — jednak ocalić was może ktoś, w czyjem sercu mieszka mały Radosek, ktoś, czyje serce pełne jest dobroci i radości. Poszukaj kogoś takiego!

Błękitek podziękował wróżce za radę, wsiadł na złotą muszkę i wielce zatroskany ruszył w stronę domu. Gdzie należy szukać wybawiciela? Gdy tak zasmucony rozmyślał nad losem elfów, nagle usłyszał piosenkę. Skierował swą muszkę w stronę, skąd głos dochodził i po chwili zobaczył chłopczyka. Czuprynę miał złocistą a oczy — jak błękit nieba.

Szedł zamaszyście drogą i śpiewał:

Kto dobrym pragnie być,
Wesoło zawsze żyć,
Obce mu żale...
Śmieje się niebo doń,
Blask słońca, kwiatów woń
I rzeki srebrne fale...
Potrzeba dobrym być!
Wesoło zawsze żyć!

Ucieszył się Błękitek i usiadłszy na ramieniu chłopca, opowiedział mu o nieszczęściu w swojej krainie. Chłopiec zaśmiał się jeszcze weselej, klasnął w dłonie i posadziwszy Błękitka na palcu, pobiegł do sadu. Gdy roześmiany zaśpiewał swą piosenkę, prysnął zły czar! Radoski zbudziły się uśmięchnięte, a wszystko, co żyło, zaczęło skakać i tańczyć z radości. Wstrętne żuki — wysłanniki Mściwoja, pana smutku i zła, pomerdawszy krótkiemi łapami, czemprędzej wyniosły się z sadu. A chłopiec jeszcze raz zaśpiewał:

Żeby wesoło żyć.
Dobrym potrzeba być!

R. Jaklińska (Kraków).

Z życia Sodalicji.

Założona w roku 1922 Sodalicja nasza rozwija się stale.
W chwili obecnej mamy 48 sodalisek, 33 aspirantki i 10 kandydatek.

Liczny ten zastęp wskazuje, że koleżanki nasze poważnie patrzą w życie i rozumieją konieczność tej pracy, jaką Sodalicja za cel sobie wzięła.

Mianowicie — mamy za zadanie wyrobić w sobie silny, nieugięty charakter i wykształcić się a światłe i dzielne pracownice, któreby postępując zawsze i konsekwentnie według zasad katolickich — podniosły całe społeczeństwo swoim przykładem.

Prawdziwy pomocą w usiłowaniach naszych są zebrania miesięczne, na których czerpiemy siłę i nową zachętę do pracy z gorących słów naszego Ojca Moderatora. Pracujemy w dwóch sekcjach: Eucharystycznej i Misyjnej. Pierwsza ma na celu szerzenie czci Najświętszego Sakramentu, a druga—niesienie pomocy misjonarzom.

Sodalicja zaopatrzona jest w bibljotekę, z której bardzo chętnie korzystamy. Przy pracy nie zapominamy o rozrywkach. Urządzamy akademje i wieczorki, gdzie jeszcze ściślej jednoczymy się ze sobą dla wspólnej idei, która nam przyświeca.

Wronarowiczówna IV. kurs

KRONIKA.

12. I. Uczennice V kursu były na lekcji religji w klasie II. i IV. w Pedagogjum.

14. I. Harcerki wraz z kołem Przyjaciół swej drużyny wzięły udział w „Opłatku" urządzonym w jednej z sal Domu Młodzieży Katolickiej.

14. I. Uczennice Kursu V, a 17. I. uczennice kursu IV zwiedziły zbiorową wystawę Styków w Pałacu Sztuk Pięknych.

18. I. Odbył się „Opłatek" Sodalicyjny w sali zebrań przy kościele św. Barbary.

19. I. Uczennice IV kursu pod opieką swej Wychowawczyni urządziły kulig, z którego sprawozdanie umieściłyśmy.

24. I. Odbył się dalszy z kolei koncert szkolny w sali Domu Młodzieży Katolickiej. Uczennice IV kursu stale na tych koncertach bywają.

Z Towarzystwa Kolonji wakacyjnych.

Na liczne zapytania, dotyczące wysokości wkładek, wyjaśniamy że członkami wspierającymi są osoby, które popierają cele Towarzystwa większemi datkami, zwyczajni członkowie płacą wpisowe 1 zł. i po 50 gr. miesięcznie.

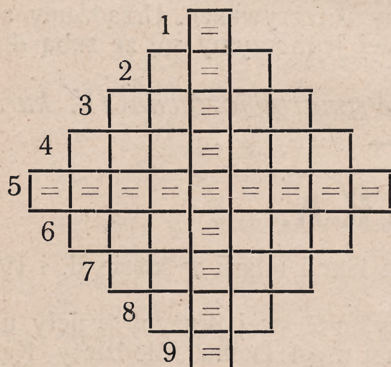
Administracja „Błysków“ do Pp. Prenumeratorek zamiejscowych.

W razie zmiany miejsca zamieszkania prosimy o przesłanie nowego adresu w celu uniknięcia zwłoki w odbieraniu pisemka.

Z kółka artystycznego.

Otrzymałyśmy prześliczny kołowrotek. Z niecierpliwością oczekujemy wskazówki, w którą stronę i do kogo mamy zwrócić dowody wdzięczności i należytość.

Zagadka.



1. Spółgłoska
2. Członek rodziny
3. Zabawka
4. Maszyna rolnicza
5. Wyraz szukany
6. Tytuł sielanki
7. Tytuł powieści
8. Produkt mleczny
9. Spółgłoska

Litery w kratkach zakreślonych dadzą nazwę dnia z okresu świątecznego.

Limba.

Szarada.

Pierwsza i trzecia — najczulsza istota
Dla dziecka swego serca ma ze złota.
Czwarta i piąta – dla roślin podpora
Widnieje w polu, gdy nadejdzie pora.
Drugie, trzecie, czwarte – za często dawane,
Bywa dla nas nudne, nawet unikane!
Całość — miły przedmiot, myślenia wymaga.
Gdy nie umiesz — dwója! i nic nie pomaga.

Janka F. IV. kurs.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L. im. Fr. Preisendanza
Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.